



RADOSŁAW NOWAKOWSKI
URZĄDZONKO

Aaaaa... Ale brzydki dzień. Paskudny. To może dzisiaj? Dlaczegoż by nie? Niech będzie dzisiaj. A co tam. Co tam czekać do jutra. Dosyć się naczekaaliśmy. To znaczy ja się naczekałem. Oni nie. Oni nic nie wiedzą. Oni się tylko domyślają. Wciąż tylko się domyślają. Jak to się mówi: gubią się w domysłach. Są całkowicie zagubieni w domysłach. I tak właśnie powinno być. Zagubić się i nie potrafić znaleźć wyjścia...

Dzień rzeczywiście był paskudny. Archetypicznie paskudny. Czyli taki jak być powinien. Wszystko powinno być paskudne, więc i dni także. Niech niebo płacze, niech go nie rozświecła uśmiech słońca.

Wstał zadowolony. Czyżby wstał nie tą nogą co trzeba? Czyżby dzisiaj wstał prawą nogą? Zapomniał się? Zawsze wstawał lewą. Dbał o to. Kładł się spać i powtarzał przed zaśnięciem *lewą wstać lewą wstać lewą wstać lewą wstać...* Tak długo to powtarzał, aż zapadał się w otchłań. To zawsze działało. Bezwzględnie i bezwyjątkowo. Nie potrzebował żadnych usypiaczy. Zresztą nigdy nie miał problemów ze snem. Czym tu się martwić? Wszystko szło tak, jak miało iść. I tam dokąd miało. Koszmary go nie dręczyły. Rewolucję pożerającą własne dzieci uważał za mit. Owszem, ciekawy, ale jednak mit. Przydatny, niekiedy wielce użyteczny, ale mit. Kiedyś widział obraz przedstawiający Saturna pożerającego własne dzieci, cóż jednak miał Saturn wspólnego z rewolucją? Nic. Zupełnie nic. Jako bóg był konserwatystą. Skrajnym? Jak każdy bóg. Zdecydowanie wolał lwa. Lew nie zjada własnych dzieci. Lew zjada cudze dzieci. Czy wolałby być Saturnem czy lwem? Nie zastanawiał się nad tym – jako osoba bezdietna wyboru nie miał. Nie zastanawiał się na tym, bo to sprawy bardzo drastyczne i nieprzyjemne, nawet odrażające, on zaś był raczej usposobienia łagodnego, wrażliwy z natury... Ale gdyby musiał wybierać, z jakiś tam powodów, nieustalonych i nieistotnych, to raczej skłaniałby się ku lwu... Osławioną samotność dyktatora też uważał za mit, też godny rozpowszechniania i powielania w rozmaitych wariantach. Samotność zupełnie mu nie przeszkadzała, z samym sobą czuł się świetnie, z samym sobą bawił się całkiem dobrze. Ostatecznie każdy człowiek jest samotny, jeden mniej drugi więcej, nie ma co z tego robić tragedii, tak jest, było i będzie, trzeba się z tym pogodzić i do tego przyzwyczaić – banały, truizmy, prawdy odwieczne. Jeśli czymś sobie zaprzętał głowę, to dwoma końcami kija. Jego uwagę przykuwał ołówek, czyli jakby nie było rodzaj kijka. To, że z jednej strony jest rysik,

a z drugiej gumka wydawało mu się nadzwyczaj interesujące – coś się napisze, potem się to zetrze i napisze coś innego i znowu zetrze... Ciekawe, zaiste bardzo ciekawe. Ołówki bez gumki już takie ciekawe nie są. To, co się napisze trzeba zamazać i już się w tym miejscu nie da nic napisać, trzeba pisać obok. Tak, to już nie to samo, to już coś całkiem innego. Zaś całe to gadanie o kiju z jednym końcem mierziło go dogłębnie. Obcy kulturowo bełkot. Tak uważał i był to osąd niepodważalny. Uznawał tylko swojskie *tak tak – nie nie*. Czarne jest czarne – białe jest białe. Oczywiście nie zawsze. Zdarza się, że czarne jest białe, a białe jest czarne. Tak nie – nie tak. Ale żadnych innych kolorów. Żadnych odcieni. Co to to nie. Kota odwraca się ogonem, nigdy bokiem, ani tym bardziej pod kątem. I nie chodzi w tym o to, by nie umrzeć z nudów. Nigdy dość społecznej schizofrenii. Raz jasne jest jasne, a raz jest ciemne. Drugi raz ciemne jest ciemne, a trzeci raz jest jasne. Szpak dziobał bociana, a potem była zmiana. Czy jakoś tam. Nieważne. Ważne, że ogólnie rzecz biorąc dobrze się bawił.

Podszedł do okna. W ogrodzie – a właściwie w ogródku, przecież składał się nań niewielki trawnik, ze dwa drzewka, chyba owocowe, ze trzy krzaki, jakie? nie wiedział, przyroda go niezbyt interesowała, chyba tylko jako pewna uciążliwość, z którą trzeba niestety żyć, bo podobno nie można się jej pozbyć – stało urządzenie. Maszyna. Urządzenie. Maszyna. Urządzenie... Nie potrafił się zdecydować. Słowo *urządzenie* zdawało się bardziej adekwatne. Urządzenie urządza. A co robi maszyna? Maszyni? Maszynuje? Zatem urządzenie. Zdecydowanie tak.

Urządzenie nie było duże. Duże urządzenie nie zmieściłoby się do ogródka. Mały człowiek, mały dom, mały ogród, małe urządzenie. Człowieczek... Ludzik? Ludzik chyba lepszy... Zatem: ludzik – domek – ogródek – urządzonko. Takie trochę większe klocki. W zupełności wystarczy. Gigantomanię zostawmy głupcom. Urządzenie było w sam raz. Większe wystawałoby ponad szczelny płot, budziłoby niezdrowe zainteresowanie i zupełnie niepotrzebne emocje. Chyba nawet lepiej byłoby gdyby powierzchwnie nie lśniły nowością, gdyby kolory nie były tak jaskrawe, tu i ówdzie należałoby może urządzenie odrapać, pobrudzić, czymś zamaskować. Z drugiej strony czyż nie pięknie teraz wyglądało? Właśnie takie jaskrawe. Jak nie z tego świata. Ten świat taki szary, ponurawy, a tu nagle coś tak kolorowego. Papuga wykradziona

z dżungli, ryba odłowiona z rafy koralowej. Czy jest jeszcze gdzieś jakaś dżungla? – przemknęło mu przez głowę kłopotliwe pytanie. Chyba już nie ma – przemknęła mu przez głowę niejasna odpowiedź. Podobnie jak prosty i całkiem satysfakcjonujący wniosek: może to i lepiej... Urządzenie nie przypominało papugi. Ani najbardziej nawet fantazyjnej ryby. Jeśli już miało coś przywołać na myśl to monstrualnego żuka. Na przykład ryjkowca. Ot, choćby żyrafkę madagaskarską z rodziny tutkarzowatych. O nie! Tylko nie entomologia. Więc może paleontologia? Jakiś dinozaur? Nie. Jeśli chodziłoby o jakiegoś smoka, to raczej należałoby poszukać potwora na dnie oceanicznych rowów, taki bowiem mógłby służyć za inspirację i wzór, taki co jest pływającą paszczą z doczepionym rachitycznym ogonkiem. Paszczogon? Urządzenie, a raczej urządzonek, nie przypominało też innych znanych urządzeń do urządzania świata. Gilotyny – wcale. Rylca z kolonii karnej – wcale, aczkolwiek w tym przypadku pewność ulega zachwianiu; rylce znamy bowiem jedynie z opisu, a opisy, nawet najprecyzyjniejsze, są tylko opisami, uruchamiają wyobraźnię, a ta produkuje u każdego inny obraz, nawet gdyby ich wspólną cechą była pewna owadziość tego aparatu (och, znowu ta entomologia!). Tym bardziej nie przypominało żadnej z maszyn skonstruowanych przez genialnych lecz dobrodusznym Kłapaucjusza i Trurla – ich maszyny grzeszyły bowiem fantastyczną nierealnością, podczas gdy to urządzonek było jak najbardziej realne. Jak realna była gilotyna... Chyba najbardziej podobne było do rozdrabniacza gałęzi. Widział kiedyś taki rozdrabniacz przejeżdżając koło parku. Bardzo go zainteresował i chciał poznać jego przeznaczenie. Zapytał kierowcę. Kierowca, który też świat oglądał głównie przez szybę samochodu, powiedział, że to chyba urządzenie służące do rozdrabniania niepotrzebnych gałęzi. Bardzo go to zaciekało. Nie przemknęło przez jego głowę. Wpadło do niej i zostało... Przypominało też trochę strugaczkę ołówków. Taką przykręcaną do stołu. Na korbkę. Jak maszynka do mięsa. Maszynkę do mięsa też przypominało, lecz ta wydawała się nader wulgarna i pozbawiona jakiegokolwiek wyrafinowania (to chyba dobrze? chyba tak właśnie powinno być?). Zdecydowanie wolał strugaczkę. Strugaczka nie masakrowała, ona tylko strugała. Ostrzyła... Niezwykłe w urządzeniu było to, że z której by go strony nie oglądać, co innego przypominało, tak zmienna i nieuchwytna

była jego forma. Niekiedy dało się w niej dopatrzeć nawet konia. Takiej też było wielkości. Czyli nieco za duże. Lepszy byłby kucyk. Widocznie zaważyły względy natury technicznej. Ostatecznie można uznać że było wielkości kobyły. Kobyła jest chyba trochę mniejsza niż koń.

Kobyła. Kobyła historii. Oto urządzenie do zajeżdżania kobyły historii. Pamiętał ten wiersz. Jego pokolenie musiało ten wiersz czytać, omawiać, analizować. Przerabiać – tak się mówiło. Całego wiersza nie pamiętał. Właściwie to pamiętał tylko tę linijkę: *zajeżdżimy kobyłę historii*. O ile cały wiersz przemknął mu przez głowę, jak chyba wszystkim, kto by tam wtedy przejmował się jakimiś futurystami, to ten wers nie przemknął, lecz w niej utkwiał. Jak jakiś gwóźdź. Albo tasiemiec bąblowiec.

Szkoły nie wspominał ani dobrze, ani źle. Wyjątkiem była zabawa w kobyłki. Jeśli tak to się nazywało. Nie mógł sobie przypomnieć. Nie mógł sobie przypomnieć, czy ta zabawa w ogóle miała jakąś nazwę. Traumatyczne było już skakanie przez kozła na lekcjach wychowania fizycznego. On mały, a kozioł duży. Cóż tu jeszcze tłumaczyć. Bywało, że udawało mu się podskoczyć na tyle wysoko, że lądował na brązowym, wyslizganym grzbiecie gimnastycznego przyrządu. Co było chyba znacznie gorsze niż gwałtowne zatrzymanie się przed, uderzenie weń tułowiem, czy nawet potknięcie się, upadek. Siedział na kozle i nie mógł z niego zejść. Gramolił się i gramolił, co potrafiło doprowadzić go do łez. Na szczęście ich gorycz pomniejszał fakt, iż nie on jeden zmagał się z tym koszmarem. Marne to jednak pocieszenie... A potem ta nieszcześnie gra. Wszyscy chłopcy tak zręcznie przeskakiwali jeden przez drugiego, tylko nie on. On potrafił się tylko zręcznie schylić (jak tu nie cenić małości) i każdy kolega przeskakiwał przez niego z łatwością, podczas gdy on nigdy nie przeskoczył żadnego... A może nie bawili się, nie grali w kobyłki? Może wyobrazeniem zastąpił brak wspomnienia? Jakże bowiem wytłumaczyć to, że wiele lat później jego ulubionym programem telewizyjnym stało się rodeo? Nie oglądał wiele. Po co miałby oglądać? Ale to jak dosiadają konie i byki, jak z nich spadają, jak te konie i byki wyginają w łuk grzbiety, jak wierzgają, jak miotają się, żeby zrzucić jeźdźca, co ci jeźdźcy wyprawiają, by nie dać się zrzucić – to go fascynowało. I, o dziwo, uspokajało. Odprężało i relaksowało. Zapewne dałoby się to wytłumaczyć wielce pokrętną psychoanalizą. Stworzyć jakiś nowy syndrom, powiedzmy kopenhaski lub helsiński:

przekształcenie traumy w fascynację... Lecz to wszystko to tylko ujeżdżanie. Teraz miało nastąpić zajeżdżenie. I nie takie, o którym pisał pewien uczyony, marny zresztą, pochodzący, sądząc po nazwisku, z kraju, w którym kije mają jeden koniec. Wieszczył ten autor, że historia się właśnie skończyła i więcej już nas nie będzie męczyć, a tu, jak zwykle, skończyło się na wieszczaniu. Tak to jest, kiedy się pisze, a nic nie robi. Trzeba robić, a nie pisać.

Włożył buty i wyszedł do ogródka. Mógłby wyjść w kapciach, ale coś mu podszepnęło, że nawet ta odrażająca historia zasługuje na odrobinę szacunku, którą wyraziłyby właśnie stare buty o startych obcasach i przygniecionych piętach, a której nie wyraziłyby kapcie. Cóż to mogło być to, co mu podszepnęło takie bzdury? Raczej należałoby się obawiać rosy – kapcie by przemokły, dostałby kataru, a to popsułoby zabawę.

Zabawa zapowiadała się przednio. Otóż, urządzenie miało usunąć raz na zawsze, czyli ostatecznie i bezpowrotnie wszelkie pozostałości tego okropnego, złego, paskudnego, zwyrodniałego systemu określonego różnymi słowami na **k**, na **b**, na **m**, na **s**, na **l** na **u** i kto wie jakimi jeszcze innymi i czy by starczyło liter w alfabecie, które to resztki teraz zatruwały życie porządnych, cnotliwych obywateli, prawdziwych patriotów, nie pozwalały im rozwinąć skrzydeł, odbić się od ziemi i pofrunąć w niebo, we wszystkim im przeszkadzały, były winne wszystkich nieszczęść i w ogóle. Ech, szkoda gadać. Po oczyszczeniu państwa i narodu z tych śmieci, z tych gnijących odpadów, z tego szamba przeszłości, będzie wreszcie można ruszyć świetlaną drogą ku przyszłości. Prawą marsz! Wszyscy odetchną z ulgą i odmaszerują ochoczo. Zniknie to, co niechlubne, pozostanie tylko to, co chlubne. (Tu na czole pojawiła się drobna zmarszczka, a na twarzy lekko kwaśny grymas. Jak pogodzić chlubność rzeczy z jej, z ich, pospolitością? Zmarszczka zniknęła, grymas zmienił smak na lekko słodki. Nikt nie będzie zwracał uwagi na takie subtelności niesiony falą prostackiego entuzjazmu.) Teraz dopiero zostanie zbudowany zupełnie nowy system. Prawdziwy. Dobry. Rzetelny. Sprawiedliwy. Raz na zawsze. Nikt go już nie będzie zmieniał. A przede wszystkim historia. Ten nowy system będzie zupełnie taki sam jak ten stary, tylko lepszy... Nie znał przecież żadnego innego systemu. W nim się urodził, w nim się wychował, w nim spędził całe życie, nie znał żadnych innych systemów, cóż tu więc kombinować? Trzeba zmienić

wszystko nie zmieniając niczego. Czyli jeszcze raz tak samo, lecz całkiem inaczej. I tyle. I już.

Urządzenie prezentowało się bardzo dobrze. Te dziwne rury, dźwignie, pokrętła, paszcje, ziejące czernią otwory, śmigła, turbiny, lampki wzbudzały zaufanie. Żadna tam sztuczna inteligencja. Zwyczajna, prawdziwa, brutalna, naturalna tępota. Blachy. Stal. Żeliwo. Guma. Takie miało być to urządzenie i takie było. Tak zarządził, a jeśli tak zarządził, to tak musiało być zrobione. Bez gadania. I bez sprawdzania. To też zostało zarządzane. Żadnych testów. Tylko on miał prawo je uruchomić. Przeznaczenie i funkcje urządzenia jawiły się jego wykonawcom mgliście, a on nie miał bynajmniej zamiaru tej mgły rozpraszać. Niejasność zawsze była i jest mile widziana. Nie chodziło też o to, by uruchomić urządzenie, a raczej urządzonko, uroczyście i z pełną pompą. Co to to nie. Nikt nie znał dnia ani godziny uruchomienia. Nawet on. Chciał sobie zrobić niespodziankę. Wstanie kiedyś i powie sobie: to dziś. Dlatego urządzenie stało już jakiś czas w ogródku, na tyle długo, że wszyscy o nim zapomnieli coraz bardziej przekonani, że to kolejna niegroźna fanaberia. Dziwactwo szalonego starca. I dobre. Tym większa będzie niespodzianka.

I była. Ogromna. Dokładnie taka o jaką chodziło. Przekręcił pokrętło kilka razy w obie strony zgodnie z podanym szyfrem i urządzenie ożyło. Lekko się zatrzęsło, jakby przeszedł przez nie dreszcz rozkoszy. Uniosło jedną ze swych paszczy i zaczęło bez ceremonii i certolenia się pochłaniać stojący tuż obok dom. – Stój! – krzyknął. – Co robisz?!... Podbiegł do urządzenia, odsunął się bowiem trochę, by lepiej podziwiać jego działanie, i już miał ująć dłonią pokrętło, gdy ujrzał kątem oka ciemną wysysającą otchłąń, a kątem ucha, lub uchem wewnętrznym, usłyszał jak dziwny głos będący niemożliwym połączeniem mlaskania ze zgrzytliwym turkotem mówi: – Urządzam. Zmieniam na lepsze...

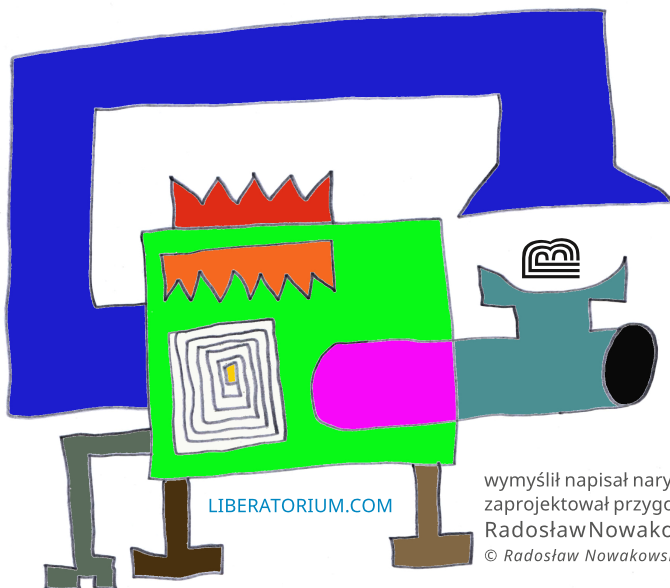
To żadna niespodzianka. Wiadomo było przecież od początku, że jako relikwiny poprzedniego systemu, jako śmieć i gnijący odpad, zostanie pochłonięty. Tu nie ma żadnych zaskoczeń. Pewnym zaskoczeniem może być takie oto pytanie wypowiedziane zupełnie normalnym głosem: no dobrze, lecz co dalej?

No właśnie – co dalej?

Miał rację uważając, że ten marny uczoney pochodzący z kraju gdzie kije mają jeden koniec, klaszcze się jedną ręką i wygaduje się jeszcze więcej takich bzdur, bo na to wskazywałoby jego nazwisko, mylił się ogłaszając koniec historii. Historia, jak i każda składająca się na nią historyjka (jedną z nich jest historyjka ludzkości), nie ma końca. Zawsze przecież coś się dzieje. Lecz on też się pomylił. Koszmar powrócił. Nawet jeśli przyjąć, że udało mu się dosiąść kobyły historii, to z całą pewnością jej nie ujeździł. Tym bardziej nie zajeździł. Nikomu się to nie udało. Wszyscy spadali i byli tratowani. Są takie reguły, które nie mają wyjątków...

No dobrze, lecz co dalej? Urządzenie zostało uruchomione, więc działa. Pochłania. Nie wiadomo kto miałby je zatrzymać i jak miałby to zrobić. Jest duża szansa, że urządzenie się zepsuje, wszak zostało wymyślone i zrobione z pełnym poszanowaniem ducha tamtych czasów, a jeśli tak, to mimo solidnego wyglądu, mimo pozorów niezniszczalności jaką gwarantuje toporność, wymyślili je i wykonali partacze, a nie dobroduszny Trurl z Klapaucjuszem, którzy zresztą też pochodzili z tej przeklętej epoki i byli jej żalosnym pomiotem, więc i ono samo jest partaczem i na pewno prędzej czy później coś spartoli i się zatnie. Świadomie używam słowa *szansa* a nie *nadzieja*. Tym razem świat nie zostanie ocalony i dalej będzie trwał w swym niepojętym szaleństwie.

czerwiec 2020



LIBERATORIUM.COM

wymyślił napisał narysował
zaprojektował przygotował
Radosław Nowakowski
© Radosław Nowakowski 2020